

## Wśród zagranicznych książek

Jacek Wojciechowski

Czytam i sygnalizuję publikacje bibliologiczne oraz informatologiczne, a czasem też inne, pokrewne – z (irracjonalnym?) założeniem, że któreś z tych książek ktoś zechce przeczytać – wybierając co lepsze. Natomiast „średnia” jakość tego piśmiennictwa jest jednak marna. Dominuje kazuistyka, puste żonglowanie terminami, oraz powtarzanie oczywistości lub bredni.

Czasem trafiam jednak na opracowania ciekawe, a nawet świetne. To dzięki nim nasze dyscypliny wciąż mają naukowy sens – na przekór bezpłatnym śmieciom internetowym, które wszyscy przywołują, bo są darmowe i łatwo dostępne. Ale z łatwizny nie generują się żadne wartości.

Otóż tym razem natrafiłem na takie właśnie książki. Bardzo ciekawe i poznawczo satysfakcjonujące.

### Wirtualność wobec rzeczywistości [\*\*\*\*\*]

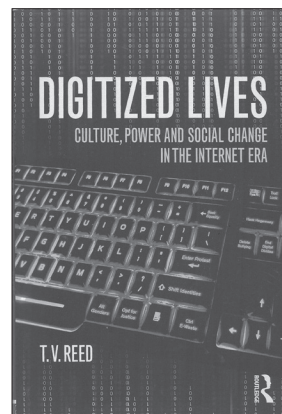
Thomas Vernon Reed (2014). *Digitized lives. Culture, Power and Social Change in the Internet Era*. New York/London: Routledge, pp. 237. ISBN 978-0-415-81931-2

Za sprawą elektronicznej inwazji, świat komunikacji – nie tylko informacyjnej – uległ istotnym zmianom, chociaż niekoniecznie tak, jak to się potocznie i ponadpotocznie sugeruje. W szczególności digitalna rzeczywistość wirtualna istnieje nie zamiast realnej, ale razem z nią i z niej też została ewolucyjnie wygenerowana.

O tym, jak to jest naprawdę, niezwykle ciekawie i mądrze opowiada w swojej nowej książce Thomas Reed, profesor Washington State University oraz York University w Toronto. Przede wszystkim porządkuje racjonalnie wizerunek ich współczesnej koegzystencji, ale także zerka ku korzeniom, sygnalizując rozwojową ciągłość międzyludzkiej komunikacji. I wpisuje to w łańcuch następczy czterech ogniw: mowa > pismo > druk > internet. Jego zdaniem – wiodących, pośród całego mnóstwa wariantów komunikowania.

Ale to nie jest tylko taka sobie konstatacja rodowodowa. Reed próbuje bowiem określić – także w ten sposób – rozumne i spójne relacje pomiędzy społeczeństwem i komunikacyjną technologią, oraz między środowiskiem digitalnym a realną rzeczywistością. To jest główny, wysoce produktywny, a nawet doniosły, motyw jego opracowania. Kwestionujący technologiczny determinizm oraz teorie dominacji technokultury – rozpanoszone również w piśmiennictwie, uznawanym za naukowe.

Jakkolwiek, autor przyznaje, że na pytanie, co technologie czynią z naszym życiem, jednej syntetycznej odpowiedzi nie ma. Zwłaszcza, że ok. 60% mieszkańców globu nic wspólnego z tymi technologiami nie ma<sup>1</sup>. Ale autorska opinia główna jest taka, że to przecież ludzie tworzą technologie oraz je wykorzystują, zatem jest logiczne, że to społeczeństwo rozstrzyga i decyduje, jakie będą z nimi relacje, oraz do czego posłużą. Nigdy zaś: odwrotnie.



<sup>1</sup> Dokładnie: 57.7%. *Internet World Stats*, 2014 [dokument elektroniczny].

Reed zwraca również uwagę, że pojęcie wirtualnej przestrzeni jest nadużywane i opacznie rozumiane. Termin cyberspace wprowadził w 1984 r. William Gibson, ale w powieści (!) *Neuromancer*, nadając mu znaczenie metaforyczne. No bo w istocie jest wytworem wyobraźni – stąd zresztą tyle naokoło rozmaitych przestraszeń, a to nadrzędnością maszyn wobec ludzi, a to znów panowaniem cyborgów, wszystko jednak przecież w wymiarze fikcyjnym. Tymczasem ten wydumany konstrukt uległ transformacji, rzekomo urealnijającej, dlatego w szerokiej świadomości funkcjonuje jako quasi-autonomiczny byt. A to przecież nonsens.

Jest po pierwsze produktem niematerialnym, który niby krzyżuje się z rzeczywistością, ale w istocie do niej przynależy, istnieje bowiem prymarnie tylko rzeczywistość konkretna. No i nie jest żadnym przeciwstawieniem do innych wytworów oraz obszarów komunikacji, ponieważ wprost lub pośrednio, na ogół częściowo, cyberprzestrzeń i sama komunikacja digitalna, wykorzystały uprzednie dokonania komunikacyjne do swoich celów. Zaś tak chętnie podkreślana odrębność bierze się z nowości. Dopiero z czasem to, co używane, powszednie i staje się naturalne – ulega wchłonięciu przez rzeczywistość bieżącą.

Gdyby natomiast racjonalnie skupić się na metaforze, to według autora są co najmniej trzy różne obszary przestrzeni digitalnej, zatem trzy odmienne odniesienia pojęciowe. Jest więc miejsce „pobytu” internauty na stanowisku realnym i w sieci. Ale może być również zespół (zindywidualizowanych?) doświadczeń oraz wytworów sieciowych. Oraz jest to także (niewidoczny) kompleks wszystkich sieciowych urządzeń. Lecz w ten sposób nikt jednak o tym nie myśli.

Do internetu i do całej sieci Reed odnosi się procesualnie, a nie przedmiotowo. Twierdzi, że to jest zespół procesów oraz relacji, które na dodatek podlegały i wciąż podlegają sukcesywnemu rozwojowi. Na początku był etap wojskowy (Arpanet), następnie akademicki, później naukowy, awangardowo-kulturalny, potem publiczny, komercyjny i wreszcie udomowiony. To model zaskakujący, ale nie da się powiedzieć, żeby nietrafny.

W tak skonstruowanym rejestrze następstw, autor sygnalizuje dwa etapy przełomowe. Pierwszym było wejście w orbitę rynkową, więc fragmentaryczna komercjalizacja, która zmieniła internet radykalnie: częściowo korzystnie, ale też po części – nie. Zaś drugi etap, być może ważniejszy, wiąże się z chwilą, kiedy zainspirowano Web. A dokonał tego Tim Berners-Lee, o którym Reed pisze w tej książce często i (jak niemal wszyscy znawcy) nieodmiennie na kolanach. Otóż to wtedy wkroczyła do sieci armia nadawców nieprofesjonalnych i tak już zostało.

O relacjach pomiędzy „przebywaniem” online oraz w realnej rzeczywistości, jest w książce mnóstwo refleksji, ale rozsianych po całym tekście. Przywołam tu kilka najmocniej zasygnalizowanych różnic.

Otóż zainstalowanie się online, zdaniem autora, wiąże się nieuchronnie z destabilizacją. Internauta mianowicie wkracza w stan dynamicznej mobilności: ma przeświadczenie, że jest nieustannie w ruchu. To inność, ale czy na pewno kłopotliwa? Nie wiadomo przecież, czy poczucie stabilności jest człowiekowi w ogóle potrzebne. Możliwe, że nie.

Inna różnica: internet oferuje nadawcy (pozorowaną) anonimowość, której w kontaktach bezpośrednich zachować nie można. To ośmiela i podpowiada luzactwo, ale jednocześnie potrafi wyzwać nieprzyjaźń, albo wręcz agresję. Co widać: sieciowe hejterstwo rozpleniło się ponad wszelką miarę. Wprawdzie w rzeczywistości realnej również występuje, ale mimo wszystko nie jest aż tak beczere-monialnie manifestowane.

Z kolei jest też niespodzianka, słabo uświadamiana lub wcale. Otóż ta anonimowość nie jest jednak zagwarantowana w pełni – tak jak nikt, wobec tego, również nie zapewni całkowitej ochrony prywatności. O czym także nie wszyscy wiedzą.

Prywatność to kontrola tego, co o tobie wiedzą inni. W realnej rzeczywistości możliwa częściowo do zachowania, w internecie natomiast nie. W gruncie rzeczy można odtworzyć wszystko, co zostało do sieci wprowadzone. Już nie mówiąc nawet o tym, że istnieje sieciowy handel informacjami o internautach, drastycznie rujnujący prywatność. Tymczasem nawet młodsze generacje użytkowników internetu, na ogół bardziej otwarte, chcą przynajmniej niektóre wiadomości o sobie pozostawić poza

cudzą świadomością. I oczywiście każdy ma do tego prawo. Ale zapewnienie tego prawa w sieci, pomimo różnych przedsięwzięć, jest niezwykle trudne, a w stu procentach najprawdopodobniej w ogóle niemożliwe<sup>2</sup>.

Obiegowej nieświadomości obnażeniowych efektów internetu, dorównuje potoczne sloganiarstwo na temat jego niby demokratycznego charakteru. W rzeczywistości to lipa, bezzasadny mit – powiada Reed.

I dodaje, że w sieci występują te same podziały oraz bariery, które rządzą rzeczywistością realną. Z dodatkiem wykluczeń z przyczyn materialnych, z powodu nieumiejętności korzystania, oraz przez nieznanomość języka angielskiego, który zdominował globalną sieć, tymczasem jedynie 6% populacji świata włada angielskim od urodzenia. A dla osób z różnymi dysfunkcjami, utrudnienia w korzystaniu są jeszcze większe.

Nie istnieje też żadna równoprawność eksplikacyjna: w sieci zakorzenił się transmisyjny imperializm. Dominują wielkie korporacje i czynnik komercyjny jest nie do przeliczowania. Chociaż mimo to, wielkoskalowe możliwości nadawcze osób i grup nieformalnych, są jednak w sieci znacznie większe, aniżeli w świecie realnym.

Poza tym internet nie jest wolny od różnych tendencji prześladowczych. Rozplecił się mianowicie seksizm w wielowariantywnych formach sekowania kobiet – jakkolwiek nie jest tak silny jak niektórzy twierdzą, a ostatnio wręcz najwyraźniej słabnie. Oraz objawia się e-rasizm. Dostrzegaliśmy nawet w syntetycznym portrecie internauty: to koniecznie męzczyzna, koniecznie biały i koniecznie w okularach (czyli: z wyższych sfer).

Natomiast ważne, że sieć tych zjawisk nie generuje: najwyżej dopełnia. Są bowiem przeniesione z praktyk rzeczywistych. A zdaniem Reeda, będzie ich mniej, jeśli wśród nadawców oraz rozpoznanych adresatów zwiększy się udział różnych grup etnicznych i kobiet.

Jednak demokratyzacja internetowego narzędzia wymaga również – albo może przede wszystkim? – rozszerzenia zasięgu, bo nawet w Europie są wielkie różnice, na świecie natomiast wręcz przepastne. Dopowiem: od 88% populacji w Ameryce Północnej i 70.5% w Europie, 35% w Azji oraz 26.5% w Afryce. W Skandynawii 97%, a 42% na Ukrainie<sup>3</sup>. No więc trzeba zacząć zasypywać tę przepaść.

Ale do tego – sugeruje Reed – potrzeba programów rządowych oraz międzynarodowych, a ponadto wszechstronnego wsparcia. Niezbędni są sprawni dostawcy i pośrednicy, kompetentni doradcy, no i trzeba społeczeństwa wdrożyć do korzystania. Autor nie pisze, że to może być powinność bibliotek, lecz przecież tak właśnie jest. Jednocześnie należy dokonkretyzować oraz sukcesywnie rozpoznawać odbiorcze nastawienia, a w ślad za tym (powinny sprawdzić się mechanizmy rynkowe) stosownie zaadresować oferty, odpowiednio zdywersyfikowane. Otóż droga ku temu jest jeszcze daleka.

Zainteresowanie rządów internetem, już wyraźnie dostrzegalne, ma jednak charakter nie tylko wspierający, ale także użytkowy. Bo to niewątpliwie jest efektywne narzędzie politycznej propagandy oraz promocji, a także obszar politycznych zmagania i przepychanek. Stąd różne próby zastosowania państwowej cenzury, czasem w interesie społecznym, ale częściej – własnym.

Przed wszystkim jednak Reed zwraca uwagę na rosnącą aktywność polityczną samych internautów, co zresztą ocenia ostrożnie. No bo ma ta aktywność formę dopełniania opinii, obecnych w rzeczywistości; internauci w sieci szukają najczęściej potwierdzenia własnych poglądów politycznych. Inspiracyjne możliwości internetu w tym zakresie, zwłaszcza pobudzenie do jakiegokolwiek akcesu i działań, a przynajmniej do deklaracji oraz obywatelskiego nieposłuszeństwa – co podkreśla się szeroko – autor uważa za przesadzone. Deklaracyjne bowiem, lub kontestacyjne oświadczenia, również polityczne, to jednak zaledwie informacje, a nie żadna wiedza, ani tym bardziej mądrość.

<sup>2</sup> Zob. m.in. Ł. Kołodziejczyk: *Prywatność w Internecie: postawy i zachowania dotyczące nieujawniania danych prywatnych w mediach społecznościowych*. Warszawa: Wydaw. SBP, 2014; D. Nicholas, D. Clark: *Evidence of user behaviour: deep log analysis*. In: *User Studies for Digital Library Development*. London: Facet Publishing, 2012, pp. 85–94.

<sup>3</sup> *Internet World Stats*, 2014 [dokument elektroniczny].

Natomiast zwraca uwagę, że wobec rozległej dostępności nadawczej, sieć aktywizuje także ekstremistów i bywa narzędziem brutalnej walki politycznej, bądź ekonomicznej. Cyberterroryzm wcale nie jest mitem, sieciowy wandalizm, czyli czarne hakerstwo, rozprzestrzenia się niepokojąco, a psucie reputacji osobom znanym jest praktykowane równie intensywnie, jak kreowanie celebrytów. I to także jest wariant relacji pomiędzy siecią a rzeczywistością. Niekoniecznie pożądaną.

Trzeźwo, lecz w sumie z aprobatą – co z przyjemnością odnotowuję – odnosi się Reed do gier elektronicznych, dostrzegając w nich rozmaite zalety. Uczą bowiem w sposób pozaświadomy szeregu ważnych umiejętności. Słuchania narracji oraz odbioru epickich eksplikacji fikcjonalnych. Korzystania z technologii. Przestrzegania reguł uczestnictwa (szczególnie w grach wieloosobowych) i ogólnie: pozytywnego myślenia. A także, za sprawą silnej immersji, dostarczają emocjonalnej rekompensaty, której w życiu nierzadko brakuje.

Autor dezawuuje mit, jakoby cybergry były miłą rozrywką dla męskich małałotów. W rzeczywistości częściej grywają osoby dorosłe i coraz większy jest udział kobiet w tym graniu.

Owszem, w scenariuszach gier nie brakuje idiotycznych stereotypów – tępych mięśniaków i seksualnych niewolnic – oraz nastawień na przemoc. Ale pierwowzory generują się z rzeczywistości, są więc tylko przenoszone do sieci, a w miarę zmian gustów publiczności, ulegają wypieraniu. Ewentualnie trzeba mocniej napierać na twórców.

Nie brak w tych grach gloryfikacji wojen, armii, wojskowości: awatary w mundurach rozbudzają emocje i ma miejsce oklaskiwanie sfikcjonalizowanej batalistyki. Ale przecież od stuleci chłopcy bawili się odwołanymi żołnierzami, zaś wojenne fabuły nadal stanowią istotny składnik różnych form przekazu. Tak więc to nie gry elektroniczne są głównym rozsądkiem treści niepożądanych – wszędzie naokoło jest ich znacznie więcej. Ze względu zaś na pozytywne wartości tych gier, które zresztą nie osiągnęły jeszcze apogeum rozwoju, warto potraktować je aprobatywnie. Także (dopowiem) w bibliotekach.

Natomiast chyba zbyt nonszalancko i jednostronnie traktuje Reed bardzo ważny problem zastosowania sieci do celów edukacyjnych. Za dużo w tym bezkrytycznej chwalby. W pewnym momencie kwestionuje nawet opinię, że internet wiąże się w odbiorze z uproszczonym myśleniem – co 5 lat temu sugerował (m.in.) Nicholas Carr w swojej bardzo głośnej książce<sup>4</sup>. Otóż dobrze jest, kiedy każdy wypowiada się o tym, na czym się zna, Reed zaś z psychologią nie ma nic wspólnego.

To nie Carr (w końcu „tylko” publicysta, jakkolwiek świetny) sformułował taką tezę, lecz wynika z szeregu analiz neuropsychologicznych, których samo przywoływanie zajęłoby kilka stron. Odbiór treści z monitora rzeczywistości uaktywnia głównie pamięć roboczą, a nie trwałą, ale to nie znaczy, że w kształceniu nie ma zastosowania. W rzeczywistości ma, zwłaszcza w dydaktyce, jakkolwiek trzeba wiedzieć, do czego nadaje się, a do czego nie.

A już inna sprawa, że przeciwników tego stosowania jest mnóstwo: nazywają je lekceważąco *edutainment* – jakkolwiek nie mają racji. Z kolei zaś szkoły ociągają się z implementacją, bo to jednak inny wariant dydaktyki, a wszystko co inne, budzi opory.

Reed nie myli się natomiast, kiedy podpowiada koegzystencjalną, kooperacyjną, bądź dopełniającą rolę internetu w kształceniu, tak szkolnym, jak również akademickim, poprzez wykorzystywanie online, w trybie bezpośrednim bądź zdalnym, w nauczaniu indywidualnym, grupowym (także na lekcjach, wykładach, ćwiczeniach), oraz jako dodatkowe zaplecze podręcznikowe. Obszarów takiego dopełniania jest mnóstwo, przesłankę stanowi zaś powszechność korzystania z sieci w niektórych krajach. W USA mianowicie dzieci oraz młodzież w wieku szkolnym spędzają przy monitorach średnio po 7,5 godziny dziennie, toteż posługiwać się siecią niewątpliwie warto.

Komplementarności tego narzędzia autor objaśnia następująco. Informacja to powiadomienie. Zbiór informacji odpowiednio zorganizowanych indywidualnie to wiedza. Natomiast dobrze używana wiedza składa się na mądrość. Otóż internet jest przede wszystkim narzędziem informacyjnym, więc oczekiwanie czegoś więcej nie musi być słuszne. To „więcej” daje się osiągać na rozmaite inne sposoby: przynajmniej na razie.

<sup>4</sup> N. Carr: *The Shallows. What the Internet Is Doing to Our Brains*. New York: Norton & Company, 2010 – omówienie w: *Przegląd Biblioteczny*, 2011, nr 2, s. 262–264.

Bo jednak przyszłości Reed nie zamierza dokonkretyzować – za mało wiadomo. Owszem, przygląda się technicznemu rozwojowi i widzi sukcesywne zmiany urządzeń, co powoduje mnogość odpadów i rodzi obawy o sens kosztów zaopatrywania się w technologie, które są tak zmienne. Potwierdza też znane już opinie o dalszej miniaturyzacji aparatury, o prawdopodobnych rozwiązaniach, generowanych dzięki nanotechnologii, oraz (to hipoteza oryginalna) odgaduje możliwości wykorzystywania w komunikacji rozmaitych implantów. Jego zdaniem, potrzebne są również świeże koncepcje neo-eugeniczne. Ale to tylko zarys pomysłów.

Ostatecznie zaś przywołuje raz jeszcze pogląd, że o wszystkim w końcu zdecydują ludzie. Kreując nowe technologie, lecz potem asymilując tylko niektóre, rezygnując z innych. Ale jakie – tego z większym wyprzedzeniem przewidzieć nie można.

Trudno natomiast zgodzić się z jednym z pomysłów Reeda – żeby mianowicie zlikwidować autor-skie honoraria za naukowe odkrycia i publikacje, bo wszak autorzy pobierają pensje na uczelniach. Owszem, ale po pierwsze nie wszyscy, a po drugie: za dydaktykę, nie zaś za wytwory badań. Łatwo mu się mówi, kiedy na uczelniach pobiera dwie pensje, kanadyjską i amerykańską, z pewnością wyższe niż płace naszych asystentów, ale to nie jest model do naśladowania.

Dostrzegam w tym niepotrzebną destrukcję. Takie zawołania powtarzają bowiem osoby, które o pisaniu i o nauce nie mają pojęcia, a także nie lubią jajogłowych. Skoro żyje się w warunkach rynkowych, to każda produkcja, również naukowa, musi być materialnie, ale konkretnie, motywowana, bo inaczej nie będzie z tego nic. Odmiennej rozwiązań próbował w swoim czasie Lenin i co z tego wyszło – każdy widzi.

## Jeszcze raz: internet i społeczeństwo [\*\*\*\*]

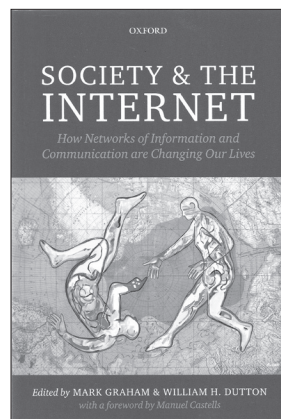
*Society & the Internet. How Networks of Information and Communication are Changing Our Lives* (2014). Red. Mark Graham, William H. Dutton. Oxford: Oxford University Press, pp. 390. ISBN 978-0-19-966200-5

A oto książka podobna, jednak bardziej wielotematyczna, przygotowana przez pracowników – oraz przez współpracujące osoby z zewnątrz – Oxford Internet Institute, który wchodzi w skład tamtejszego uniwersytetu. Redaktory to prof. (po naszymu: zwyczajny) William Dutton, jeden z instytucyjnych pionierów, obecnie w USA, pracujący w uniwersytecie w East Lansing (jest współautorem kilku tekstów w tym tomie), oraz prof. (po naszymu: nadzwyczajny) Mark Graham. To również bardzo ciekawa i wartościowa poznawczo publikacja, chociaż nie wszystkie teksty są jakościowo jednakowe, ale tak bywa zawsze w tomach wieloautorskich. Kiepskich wypowiedzi w każdym razie tam nie ma, jednak w omówieniu skupię się na tych, które uważam za szczególnie frapujące.

Wstępy w takich tomach to są zwykle streszczenia i ogólniki, lecz tym razem wprowadzenie (autorstwa obu redaktorów) to chyba najlepszy ze wszystkich tekstów. A mowa w nim głównie o zróżnicowanych opiniach na temat internetu.

Jedni mianowicie traktują sieć jak zbawienie, inni jak przekleństwo, a niektórzy próbują nie zwracać uwagi. To może i jest śmietnik informacyjny, tonący w zalewie amatorszczyzny, ale jednocześnie zapewnia dopływ różnych wiadomości oraz uzupełnia inne źródła. Być może utrwała stereotypy, jednak równocześnie poszerza horyzonty. Nie poddaje się więc jednej autorytatywnej ocenie.

Internet, w stopniu wcześniej nieosiągalnym, zapewnia dostęp do informacji i treści nieinformacyjnych, umożliwia bezzwłoczne kontakty z dowolnymi adresatami, oferuje coraz szerszy repertuar dostaw towarowych i usług, no i staje się pośrednikiem w korzystaniu z różnych innych mediów. W takim zestawieniu (przecież niepełnym) nie ulega wątpliwości, że osoby, z różnych powodów wykluczone z sieci, są mocno poszkodowane.



Owszem: istnieją też mankamenty. W internecie faktycznie trudno zapewnić stuprocentową prywatność. Ma również miejsce ograniczanie transmisyjnej oraz odbiorczej swobody, w czym mają swój udział wielkie korporacje i rządy, usiłujące kontrolować sieć. Poza tym pośród koncepcji prognostycznych niebezpiecznie przoduje technodeterminizm, zakładający prymat techniki w komunikacji publicznej (to bardzo deprymuje) i w dodatku jednej techniki: rzekomo najlepszej.

Zalety i niedostatki zatem rzeczywiście przeplatają się wzajemnie, dając pożywkę dla różnicowanych poglądów i woluntarystycznego myślenia o przyszłości. Ale pożytków jest zdecydowanie więcej, wady zaś można i trzeba sukcesywnie eliminować.

Jakkolwiek ostrzeżenie akurat przed determinizmem technologicznym trzeba – moim zdaniem – radykalnie zintensyfikować, bo to jest iluzoryczne założenie jednokierunkowego rozwoju automatycznego, także społeczeństw: ku mądrości. Gdyby taka była prawda, to już dawno osiągnęlibyśmy stan intelektualnej nirwany, idealnej wszechwiedzy. W rzeczywistości ma miejsce stałe zmaganie się tendencji (być może wrodzonych) promądrościowych, z nastawieniami (też ewentualnie wrodzonymi) abnegacyjnymi, na bezmyślność i niewiedzę. Wypadkowa jest efektem różnorodnej aktywności, a więc koniecznie także: zróżnicowanego, wielowariantowego zaplecza komunikacyjnego. Wyłączność jednej formy byłaby katastrofą.

Podobnie jak obaj autorzy (oraz Reed), obiegowe utyskiwania na sieć przywołuje też i komentuje Aleks Krotoski z tegoż instytutu. To przede wszystkim zagrożenie prywatności, oraz wzmożona za sprawą anonimowości napastliwość i agresja (ale przecież przeniesione z życia), a także narażenie na demoralizującą pornografię – co zresztą autor uważa za zarzut zdecydowanie wyolbrzymiony. I pewnie ma rację, kiedy sugeruje, że są po prostu tacy opiniodawcy, których internet irytuje w ogóle, toteż lista ich zarzutów nie ma końca. Trudno. Chociaż jednak Krotoski zauważa, że internet rzeczywiście ma „w sobie” siłę antagonizującą, większą nawet (uwaga: tak napisał naprawdę), niż więzienia oraz uczelnie. No proszę!

Staranniejszą przygląda się zaś krążącym zastrzeżeniom wobec sieciowych relacji osobowych. Są bowiem liczne wypowiedzi, że internet niszczy kontakty bezpośrednie i wobec tego psuje społeczny ład.

Otóż faktycznie ma miejsce specyficzna podmiana – jakkolwiek częściowa, a nie bezwzględnie alternatywna i ekspulsyjna. Mianowicie dotychczas zbiorowości i grupy miały charakter terytorialny, były spajane przestrzennie, natomiast w sieci tworzą się relacje konceptualne, oparte na wspólnocie zainteresowań i przeświadczeń, zaś generowane są z wyboru. Tak tworzą się nowe „społeczności” wirtualne, w których ewentualnie należy (kto zechce) znaleźć swoje miejsce. Są zatem istotnie inne, lecz nie ma dowodu, że bezpośrednio kontakty grupowe muszą wobec tego ulegać eliminacji. Niby dlaczego?

Prof. Dutton oraz Grant Blank (też z oksfordzkiego instytutu) relacjonują rezultaty obserwacji młodszych pokoleń internautów, z sugestią że to Next Generations. Jacy będą kiedy dorosną? Zapowiada się, że dokonają jeszcze radykalniejszego udomowienia urzędów i praktyk komunikacyjnych (nie unikając ich jednak również w innych miejscach, więc być może w bibliotekach też) – z wykorzystywaniem po kilka różnych narzędzi (aparatów) na osobę i z przewagą mobilnych. Widać wśród nich zwiększoną otwartość na nowe technologie oraz wzmożony entuzjazm dla korzystania z sieci, zwłaszcza nadawczego, a także silniejsze nastawienie na rozrywkę. To taki prognostyczno-syntetyczny portret przyszłego internauty: za kilka lat. Jakkolwiek (twierdzą autorzy) nadal nie zabraknie też osób, nastawionych do internetu niechętnie lub wrogo.

O bieżących relacjach dzieci z internetem pisze Victoria Nash (z tegoż instytutu), przede wszystkim kwestionując opinie o negatywnym wpływie. Bynajmniej nie rozpoznany do końca, bo analizy sygnalizują jedynie ryzyko zagrożeń, a nie rzeczywiste fakty. Efektem swoistej hysterii są jednak nadmierne ograniczenia, przesadne filtracje oraz rozmnożone zakazy. W istocie – jak sugeruje autorka – to jest reakcja dorosłych na wyższą sprawność małaolatów w kontaktach z siecią.

A ta sprawność nie bierze się znikąd. Jest głównie wynikiem praktyki domowej (zatem nie szkolnej), którą trzeba umożliwić – jakkolwiek nie wszystkich na to stać. Natomiast: bez nadmiernych ingerencji rodzicielskich w używanie. Poza tym Nash donosi, że dzieci europejskie spędzają przy monitorach średnio 1,5 godziny dziennie. Daleko nam więc do (już tu sygnalizowanej) internautycznej aktywności dzieci w USA.

Prof. Dutton, Grant Blank oraz Nic Newman analizują skutki funkcjonowania internetu dla dziennikarstwa prasowego. Z ich obserwacji wynika, że wprawdzie mniej osób czytuje obecnie gazety drukowane, jednak tradycyjne dziennikarstwo nie upadło. Czytelnicy korzystają bowiem z rozmaitych form transmisji prasowych informacji, internet zaś przede wszystkim dopełnia to, co inne przekazy ignorują. Poza tym (niepełne) wersje digitalne gazet są coraz liczniejsze, a dziennikarze instalują w internecie swoje blogi, nierzadko interaktywne, co później wykorzystują w druku. Z kolei internauci wyławiają z sieci głównie te prasowe treści, które najbardziej przystają do ich poglądów.

Autorzy dopowiadają też, że e-dziennikarstwo otwiera nowe możliwości dla prasy lokalnej i środowiskowej. I to rzeczywiście ma miejsce – nie tylko w Anglii.

Z kolei profesorowie uniwersytetu w Leeds, Stephen Coleman i Jay Blumler, próbują ocenić wykorzystanie internetu przez władze polityczne – na przykładzie Wielkiej Brytanii. Bądź co bądź, internet bywa czasem określany jako Fifth Estate: piąta władza. Teoretycznie bowiem stwarza możliwość znacznie lepszej i szeroko dostępnej informacji od rządzących dla obywateli, a także proponuje instalację kontaktów zwrotnych, jako swoisty wariant cyberdemokracji. Jednak praktyka nie skłania do optymizmu.

Władze rządowe w Anglii nieraz mianowicie deklarowały zamiar sieciowych konsultacji, ale w końcu projekty ustaw trafiały do parlamentu bez tego. Okazuje się bowiem, że nie została opanowana konieczna a trudna umiejętność przeprowadzania sieciowych debat rządowo-obywatelskich, a poza tym dodatkowo zniechęcały do udziału liczne pseudoreakcje i biurokratyczne wykręty, oraz dostrzeżone próby manipulacji. Trzeba więc od zera wypracować praktyczne sposoby postępowania i – co już wiadomo – zamiast projektów ogólnych, skupiać się w konsultacjach sieciowych na konkretnych planach o mniejszej skali. A do tego potrzebny jest taki system, który zapewni odbiór oraz wysłuchanie obywatelskich głosów, jednak tylko naprawdę rozsądnych, zatem bezstronnie wyselekcjonowanych. Na razie takich rozwiązań nie ma.

W książce zafrapował mnie jeszcze, wąskozakresowy wprawdzie, ale nowatorski, wątek wykorzystywania internetu w szeroko pojętym obszarze prawa. Autor, Richard Susskind (z oksfordzkiego instytutu), wytyczył trzy zakresy możliwych relacji.

Mianowicie, implementację do praktyki sądowniczej – która nadal jest papierozerna (miło usłyszeć, że w Anglii też) – lecz nie tylko do dokumentacji, ale także do realizacji niektórych rozpraw online, oraz do przesłuchiwanie świadków i stron w trybie zdalnym. Mogłaby w ten sposób wygenerować się z czasem wirtualna sala rozpraw.

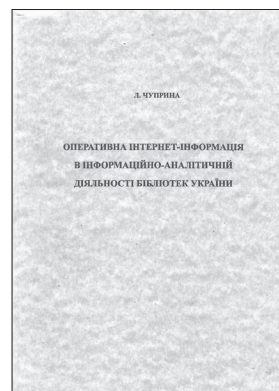
Odrębny pomysł, to sieciowa siatka porad (ewentualnie płatnych) i dyskusji prawniczych w internecie, co podniosłoby kulturę prawną na zupełnie inny poziom. Oraz są też inicjatywy – już wdrażane – e-learningowych studiów prawniczych, realizowanych w trybie sieciowym bądź to częściowo, lub nawet (niemal) w całości. Od 2009 r. prowadzi takie College of Law, z konsultacyjno-dydaktycznymi kampusami w kilku angielskich miastach oraz z głównym ośrodkiem w Guildford.

Mam nadzieję, że nawet ten – siłą rzeczy skrótowy – przegląd roztrząsanych problemów, daje pojęcie o wartości tej publikacji. Wraz z książką Reeda, składa się na ciekawy, znowelizowany portret możliwych i rzeczywistych relacji społeczeństwa z internetem.

## Z Ukrainy [\*\*\*\*]

Leonid Czuprina (2014). *Operatiwna internet-informacija w informacijno-analiticznij dialnosti bibliotek Ukraini*. Kiiw: Nacjonalna Akademia Nauk Ukraini, Nacjonalna Biblioteka Ukraini imieni W. I. Bernadśkogo, ss. 208. ISBN 978–966–02–7260–6

Z dużą satysfakcją sygnalizuję też ukraińską książkę Leonida Czupriny, ciekawą i reprezentującą dobry poziom merytoryczny. Ten kraj toczy



tragiczną wojnę, jest zrujnowany ekonomicznie i rozchwiany politycznie, ma (jak tu już pisałem) najniższy w Europie zasięg internetu, a jednak pracownicy nauki jakościowo nie odstają od innych. To godne szacunku.

Owszem, książka – jak tam teraz większość – jest wydana zgrzebnie. W przypisach, na 278 przywołanych tytułów (to dużo), jest tylko kilka zachodnich, zresztą bagatelnych, a pozostałe to publikacje ukraińskie i rosyjskie, głównie z internetu, i w większości śmieci. Lecz czy u nas też tak nie bywa? Poza tym z rosyjskiej praktyki przetrwała tam jeszcze fatalna maniera notowania tylko pierwszej litery autorskich imion, co niebywale utrudnia identyfikację.

Ale cały tekst jest po ukraińsku (to dawniej należało do rzadkości), a nie po rosyjsku – zapewne kosztem redukcji zasięgu, ale z pożytkiem dla narodowej tożsamości – interesująco dopełniony tabelami i wysoce kompetentny. Może tylko nieco nadmiernie rozchwiany, wielotematyczny, tak jakby autor chciał zreferować wszystko, na czym się zna.

Pisze bowiem o ukraińskich bibliotekach, o informacji, o internecie i o tym, co zawiera się w tytule. Nie mówię, że to źle, ale niejaki bałagan jest. W tytule zaś figuruje pojęcie informacji operacyjnej, u nas również znane, ale używane rzadko – być może dlatego, że jej w Polsce nie ma, przynajmniej w sensie sformalizowanym. Lecz na Ukrainie (uważa autor) jest nieodzowna i ma służyć władzom administracyjnym wszystkim szczeblu, żeby wspierać scalanie kraju, a jej pierwsze załączki sygnalizuje kijowska Biblioteka Narodowa.

Istota informacji operacyjnej zawiera się w gromadzeniu i transmisji, w sposób ciągły, danych koniecznych w codziennej praktyce rynkowej, zarządczej oraz (jak się okazuje) politycznej. Od informacji potocznej różni się przede wszystkim ograniczoną trwałością: szybko ulega przeterminowaniu, jest więc kłopotliwa nawet w wymiarze krajowym, a tym bardziej globalnym. Ale trzeba ją organizować.

Gwarantując przy tym wszystkie inne parametry informacyjnej poprawności w ogóle, które Czuprina skrętnie wylicza: aktualność, celowość, wiarygodność, obiektywność, jasność, dokładność, istotność, kompletność, relewantność. Rejestr jest długi, ale w literaturze przedmiotu widywałem jeszcze dłuższe. No bo jednak informacja musi różnić się od nieinformacji.

W praktyce operacyjnej trzeba to wszystko zapewnić, a przede wszystkim zorganizować system, w dodatku odporny na zakłócenia, szумы, filtracje, subiektywizacje i przekłamania, a w obecnej rzeczywistości tamtejszej: również na celowe akty dywersji. No więc łatwo nie jest.

Pisząc o internetyzacji, autor ma świadomość jej niskiego na Ukrainie stanu. Nie dość, że początki były bardzo późne, to nie sprzyjały też okoliczności ekonomiczne, polityczne i prawne oraz jeszcze odmienności językowe i alfabetyzacyjne. Poza tym, przy nikłej znajomości angielskiego, ograniczone okazały się relacje zewnętrzne. W sumie więc – jak powiada – intensywność wykorzystania sieci jest tam ośmiokrotnie słabsza niż w Polsce. A w ogóle to nawet samo pojęcie internetu ukraińskiego jest mocno rozmyte, bo wymaga dookreślenia według dwóch kryteriów: terytorialnego i językowego.

Mimo to informatycy ukraińscy jakoś sobie radzą i na bazie utworzonej sieci, powstało kilka informacyjnych systemów publicznych: rządowo-administracyjne, muzealne, oraz biblioteczny – „Elektroniczna Biblioteka”. To Biblioteka Narodowa wprowadza do sieci swoją ofertę (także częściowo odpłatnie), a w kilku formułach stwarza możliwość relacji zwrotnych 2.0. W wykorzystaniu zaś subwencji amerykańskiej, przygotowuje w 882 bibliotekach na terenie kraju (czy teraz też, nie wiadomo) punkty dostępu do informacji państwowej: operacyjnej właśnie.

A poza tym, jak wszędzie, internet podlega tam częściowej komercjalizacji. Funkcjonuje internetowość bankowa, pracodawcy sygnalizują oferty zatrudnienia, a także wdrażają się e-usługi oraz e-handel, z możliwością płatności przez sieć. Jednak postęp w tym zakresie jest ograniczony, ludzie bowiem panicznie boją się oszustw. Autor krzywi się trochę na ten komercyjny aspekt internetowej praktyki, ale chyba nie ma racji. Do pewnego momentu jest to bowiem czynnik, napędzający rozwój całości.

Analizy (ale muszę dopowiedzieć: sprzed wojny) ujawniają, że w użytkowaniu internetu na Ukrainie przeważa język rosyjski. No cóż: oferta jest, a zwłaszcza była, bogatsza. Natomiast internautów jest relatywnie najwięcej w dużych miastach oraz wśród generacji młodszych. Ci młodzi są przy tym

znacznie kreatywniejsi i bardziej krytyczni, chętnie sami biorą się za role nadawców, a wiadomości czerpią zwykle z kilku źródeł, zamiast żeby z jednego. To obiecujący portret syntetyczny przyszłej ukraińskiej internautyki.

Jakkolwiek na razie tak ciekawie nie jest (nie było?), przynajmniej w obszarze informacji politycznych. Z przedwyborczych sondaży (powtórzę: sprzed wojny) wynikało mianowicie, że treści polityczne czerpano głównie z rządowej telewizji (46%) i z rządowej prasy (23%), podczas gdy z internetu tylko marginalnie (8%). A o dziennikarstwie prasowo-medialnym, także politycznym, ma Czuprina opinie kiepską. Twierdzi, że produkowało się tam informacyjne badziewie, infotainment, z kreacją fikcyjnego wizerunku rzeczywistości, w wersji dla bogatych. Zatem spontaniczne głosy publiczności internetowej mogłyby stanowić wyłom w tej pseudoinformacyjnej sieczce.

I być może stanowiły, mimo nadal ograniczonego zasięgu. Powstały bowiem rozmaite lokalne platformy społeczne, obok powszechnych, reprezentujące różne kolektywy oraz grupy polityczne, scalając je dodatkowo, a jednocześnie w ten sposób rozpowszechniły się nieco szerzej opinie, hasła i apele, formułowane pierwotnie na Majdanie. Trudno to zlekceważyć. I rzeczywiście: politycy coraz częściej wkraczają do sieci. Ciekawostka jest (była?) zaś taka, że osoby rosyjskojęzyczne preferują Twitter, a operujące językiem ukraińskim – Facebook.

O bibliotekach Czuprina wypowiada się chętnie, ale w rozproszeniu: po kilka uwag w różnych miejscach książki. Otóż statystycznie jest na Ukrainie 40 tysięcy różnych bibliotek, ale dostęp do sieci ma mniej niż 1%, zaś 1/3 tamtejszych wsi nie dysponuje żadną biblioteką. Są (były?) próby wylansowania pomysłu na tworzenie w większych miastach regionalnych klastrów bibliotecznych, czyli lokalnych konsorcjów, w których współpracowałyby ze sobą rozmaite biblioteki. Ale jak ten projekt wygląda obecnie, nie sposób powiedzieć.

Tak jak w wielu krajach, również tam istnieje koncepcja, że biblioteki powinny być podstawowymi transmiterami informacji. Innych, lepszych kandydatów do rozpowszechniania informacji na skalę masową, jakoś nigdzie nie widać. Ale to nie przeszkadza wiecznym pesymistom na całym świecie w formułowaniu opinii, że biblioteki nie poradzą sobie jednak z takim zadaniem. Z tym, że są to zastrzeżenia gołosłowne. Po prostu nie wszyscy kochają biblioteki.

Tymczasem przy rozwinięciu bibliotecznej bazy informacyjnej (przecież nie tylko digitalnej), oraz unowocześnieniu technologicznego wyposażenia, co większe biblioteki na pewno mogą posłużyć jako informacyjne zaplecze dla instytucji publicznych oraz komercyjnych (dla nich – ewentualnie odpłatnie), a także wywiązać się z funkcji operatorskich w zakresie informacji ogólnej. I to właśnie Czuprina sugeruje. Myślę, że ma rację: innych instytucji, zdolnych do realizacji informacyjnych przedsięwzięć na miarę potrzeb XXI wieku, na Ukrainie nie widać. Zresztą przecież nie tylko tam – jakkolwiek warto zauważyć, że biblioteki nie są instytucjami wyłącznie informacyjnymi. Natomiast trzeba spełnić jeszcze jeden zasadniczy warunek: musi pojawić się w bibliotekach wysoko wykwalifikowany, bardzo kompetentny personel. Otóż deficyt w tym zakresie jest wszędzie dramatyczny.

Autor przypisuje bibliotekom również rolę ogniw kontaktowych, łączących Ukrainę z globalnym systemem informacyjnym, nie tylko w zakresie odbioru, lecz również podaży. W końcu na tym ta globalność polega. Jednak o tym, jak przełamać barierę językowo-piśmienniczą, z ukierunkowaniem zarówno na Wschód, jak i na Zachód, nie ma już w książce ani słowa. A to bardzo poważna trudność, z którą my (na szczęście) mamy kłopot znacznie mniejszy.

Ale nawet bez takiej, zapewne wysoce skomplikowanej, eksplikacji, książka wydaje się poznawczo bardzo produktywna. Ujawnia bowiem trochę inne „oblicze” funkcjonowania bibliotek i publicznej informacji. Świadomość natomiast, że toczy się tam wojna, bardzo tę relację udratycznia.

*Nadesłano: 9 kwietnia 2015.*